



POLSKA ZBROJNA



Orlik na czele oddziału wjeżdża do Ryk, lipiec 1944 roku

24 czerwca 2018 roku, 72. rocznica śmierci „Orlika”

PANIE MAJORZE! CZEKAMY!

Szczątków oficera wciąż nie odnaleziono. Ale rodzina majora Mariana Bernaciaka dopowiada dziś jego ostatnie, urwane zdanie.

Huk walących się domów, trzask płomieni, ryk zwierząt mieszały się z krzykiem dzieci i lamentem kobiet. Tak 2 maja 1946 roku płonął Wąwolnica. Ciasny kordon funkcjonariuszy UB i KBW otaczał pacyfikowaną wieś. Gryzący dym, który zasnuł niebo, miał być przestrogą dla innych. Władza ludowa dała lekcję pokazową, jak smakuje zemsta i wypalała metodycznie dom po domu, aż do koźleni, aż do kości tę wieś niepokorną, w której życzliwe schronienie znajdowali żołnierze zgrupowania AK – WiN pod dowództwem mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”. Kim był ten żołnierz, na którego z taką determinacją polowano?

„Orlik” był numerem jeden na liście poszukiwanych. Dopóki był panem lubelskich lasów, dopóty władza ludowa nie mogła spać spokojnie. Bernaciak był znakiem protestu na ziemi, której ogłoszono tragiczny dla narodu manifest PKWN. Był solą w oku. Był prawdą o woli tej części narodu, która nigdy nie poddała się sowieckiej indoktrynacji. Urodził się 6 marca 1917 roku we wsi Zalesie w gminie Ryki jako trzecie dziecko gospodyni domowej i szanowanego we wsi rymarza. Rodzice zadbał o patriotyczne i religijne wychowanie oraz o wykształcenie swych dzieci. Dali Polsce trzech żołnierzy. Spokojny i mało mówny Marian był absolwentem gimnazjum w Puławach i Mazowieckiej Szkoły Podchorążych Artylerii nr 2 w Zambrowie. W 1938 roku służył w 2 Pułku Artylerii Ciężkiej w Chełmie. We wrześniu 1939 roku skierowano go do wsparcia Grupy Operacyjnej broniącej Włodzimierza Wołyńskiego. Wraz ze swym oddziałem został wzięty do niewoli i trafił do obozu jenieckiego w Szepietówce. Kilka dni później wyruszyły stamtąd transporty na wschód. W jednym z nich był Marian Bernaciak. Ale już nie ten sam. Krótki epizod wojny na dwa fronty i sowiecka niewola wyzwoliły w tym młodym mężczyźnie siłę, o którą być może sam się nie podejrzewał. Zaryzykował ucieczkę z transportu, nie wiedząc, że właśnie wypisał się z katyńskiej listy śmierci. Okaże się, że straszny czas wojny to był jego czas. Obudził się w nim żołnierz totalny. Ten niewyróżniający się podchorąży rezerwy okazał się nagle rasowym dowódcą. Wrócił do swoich wyniszczony, ale niepokonany, by ze zwierzyny stać się myśliwym.

Natychmiast zaangażował się w działalność Związku Walki Zbrojnej w Rykach. Z postury kruchy, powściągliwy z natury, w praktyce niezwykle skuteczny, zdobył uznanie przełożonych, którzy powierzyli mu dowództwo miejscowego Związku Odwetu. Konspiracja w Obwodzie Ryki kwitła dzięki jego pomysłowości i charyzmie. Wiedział, że wojna, ekstremalne warunki walki partyzanckiej, ciągle napięcie degenerują ludzi, dbał więc o dyscyplinę w oddziale. Wizerunek żołnierza w oczach zgnębionego społeczeństwa miał być wzorowy. Mjr Bernaciak wymagał tego z całą stanowczością, pilnując morale żołnierzy. Do legendy przeszła opowieść o spotkaniu dowódcy z zataczającym się żołnierzem.

Odbłyło się bez słów, ale podkomendny nie mogąc znieść wzroku „Orlika” postrzelił się. Właśnie ta charyzma sprawiała, że lgnęły do niego najbardziej wartościowe jednostki. Zapewniał im duchową opiekę kapelanów. Był rozważny, ale działał szybko. Akcje, którymi dowodził, były starannie zaplanowane i miały brawurowy przebieg. Żołnierze wiedzieli, że dopóki dowódca panuje nad sytuacją, mają szansę na zwycięstwo. Nie zmieniał reguł, zarówno gdy bił się z Niemcami, jak i wówczas gdy do ostatniej kropli krwi przyszło mu walczyć z Sowietami. Tak było w Puławach, w wąwozach Lasu Stockiego, w akcjach, dzięki którym chronił okoliczną ludność i kiedy uwalniał więźniów z transportów.

Nie zachwiał nim osobisty dramat, kiedy w 1945 roku aresztowano jego brata i rodziców. Nie miał złudzeń co do ich losu. Gehenna rodziny była ceną, za udział w tej wojnie ich syna i brata. W wojnie na śmierć i życie o „Polskę polską”. W wojnie, która równolegle zapisywała wówczas polskie dzieje hańby i poświęcenia. Na horyzoncie łatwych karier majaczyło widmo awansu społecznego, w imię którego wielu nie wahało się sięgać do najbardziej mrocznych zakamarków ludzkiej natury.

Śmierć „Orlika” nastąpiła w wyniku zdrady. Zginął na swojej ziemi. Wielokrotnie ranny walczył do końca. To był ostatni akt na jego polu chwały. Zdradca został nagrodzony etatem rzemieślnika w warszawskiej siedzibie UBP. Ale musiał zmienić nazwisko. Żołnierze i Dywizji Piechoty, oraz funkcjonariusze MO i UBP otrzymali order i odznaczenia, w tym krzyże Virtuti Militari. Ciało „Orlika” okazano zmaltretowanym torturami rodzicom. Nie można godzić się na to, by orderem za „męstwo wojskowe” zostali udekorowani członkowie oblawy, w której w nierównej walce osaczony zginął polski patriota. Nie można zacierać tych różnic, to więcej niż „kwestia smaku”. To nie jest przestrzeń do ważenia racji.

Rodzina mjr. „Orlika” postanowiła przekazać jego order Virtuti Militari do kościoła w Rykach. Jej gest jest wymownym dopowiedzeniem tej historii. Wskazanie kościoła jako miejsca depozytu orderu jest odczytaniem testamentu oficera, a także wyrazem wdzięczności wiernym Polakom, którzy po jego śmierci spotykali się tu w jego intencji. Bo to właśnie w kościele sędziwa Marianna Bernaciak, po śmierci schorowanego po pobycie w więzieniu UB męża, znajdowała oparcie i siłę. Gdy siadywała samotna na progu swego domu, skrywając pod odzieniem poorane głębokimi bliznami plecy – pamiątkę po spotkaniu z oprawcami z UB – dla niektórych wciąż była „matką bandyty”. Wbrew namowom dzieci nie chciała opuścić ziemi, gdzie walczył i poległ jej syn. Pozostała mu wierna. „Babcia była twarda”, mówi dziś jej wnuk Michał. Trwała. Była znakiem.

„Orliku”, żołnierzu niezłomny! Wierny przysiędze oficerze Wojska Polskiego, oddany synu lubelskiej ziemi! Żył i poległ ku chwale Ojczyzny! Niech z Twojej krwi powstanie Polska Twoich marzeń!

Anna Putkiewicz

redaktor naczelna kwartalnika „Polska Zbrojna Historia”
Wojskowy Instytut Wydawniczy

Mjr Marian Bernaciak przed domem rodzinnym w Zalesiu, lata okupacji

Gdy przyszedł czas, on się nie wahał

Z Michałem Bernaciakiem, bratankiem majora Mariana Bernaciaka „Orlika”, rozmawiają Anna Putkiewicz i Piotr Korczyński.



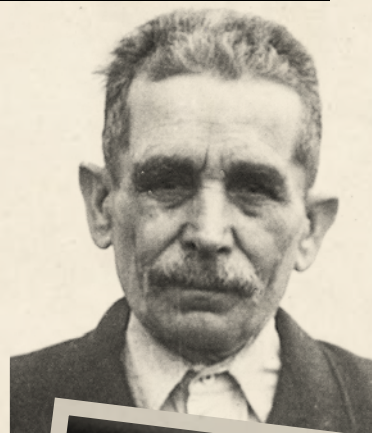
Michał Bernaciak, bratanek „Orlika”



Marian Bernaciak „Orlik”



Eugeniusz Bernaciak, brat „Orlika”, zdjęcie z oflagu



Michał Bernaciak, ojciec



Marianna Bernaciak, matka



Lucjan Bernaciak, brat „Orlika”



Wanda Bernaciak, siostra „Orlika”

Jaka historia z rodzinnych opowieści o stryju utkwiała Panu najmocniej w pamięci?

To są drobiazgi. Przytoczę tutaj jedną opowieść, którą przekazała mi moja siostra Alicja. Nieopodal domu rodzinnego w Zalesiu płynie rzeczka Zalesianka. W czasie wojny w domu dziadków stacjonowali na kwaterze Niemcy. Siostra bawiła się nad tą Zalesianką, w którymś momencie znalazła jakieś przedmioty, które włożyła do fartuszka i niosła do domu. Niemcy stali przed domem, był tam również stryj Marian. Kiedy Niemcy zobaczyli, co dziecko niesie w fartuszkach, wpadli w przerażenie. Okazało się, że przedmiotami zabranymi z rzeki są... granaty. Stryj wówczas zdradził się z tym, że zna niemiecki (uczył się go w gimnazjum) i ich uspokoił. Natomiast do Alicji powiedział, żeby mocno trzymała fartuszek, a on zaraz do niej podejdzie. Stryj wszystkie granaty pozbierał i oddał Niemcom, cały czas ich uspokajając, że to przypadek. Zresztą te granaty okazały się pozostałością po I wojnie światowej. W tym zdarzeniu pokazał swoją podstawową cechę charakteru – opanowanie.

Drugą była charyzma. Mnie zawsze zadziwia jeden fakt. Przecież oprócz podwładnych, będących jego kolegami ze szkoły czy podwórka, było wielu ludzi starszych i przewyższających go stopniem wojskowym. Mimo to stryj umiał zdobyć ich autorytet. Z przekazów stryja Lucjana wiem, że żołnierze go kochali, ale jednocześnie czuli przed nim respekt. Podporządkowywali się jego rozkazom, łącznie z zakazem picia alkoholu, co w czasie okupacji było prawdziwą plagą.

Można powiedzieć, że „Orlik” był urodzonym przywódcą.

Można powiedzieć, że okoliczności zrobiły z niego prawdziwego dowódcę. Przecież wcześniej w podchorążówce niczym specjalnym się nie wyróżniał. Miał tam opinię przeciętnego. Ale już we Wrześniu '39 znalazł się w grupie oficerów, która zdecydowała się na ucieczkę z sowieckiego transportu wiozącego ich na wschód, dzięki czemu uniknął tragicznego losu współtowarzyszy zamordowanych później w Katyniu.

A stryj opowiadał o swoich przeżyciach z Włodzimierzem Wołyńskim, w którym dostał się do sowieckiej niewoli w 1939 roku? Bardzo mało na ten temat jest w źródłach.

Niestety, ja także wiem niewiele. Pamiętam jedynie, jak moja mama, Janina, wspominała, że wrócił tak wychudzony, iż ważył mniej niż 50 kg.

Major „Orlik” przeszedł do historii jako jeden z najlepszych dowódców partyzanckich na Lubelszczyźnie, walcząc skutecznie zarówno z Niemcami, jak i z Sowietami. Słowem – bohater, a jakim człowiekiem Pański stryj był na co dzień, wśród rodziny czy sąsiadów?

Oprócz tych cech, o których mówiłem, stryj był bardzo rodzinny. Mimo swoich konspiracyjnych czy żołnierskich obowiązków, bardzo dbał o rodzinę. Moja mama wspominała, że gdy dowiedział się o jej udziale w lokalnej organizacji konspiracyjnej, poprosił ją, żeby z tego zrezygnowała. Dokładnie przytaczała jego słowa: „Eugeniusz jest w obozie, Ala ma tylko ciebie, więc musisz przetrwać, bo...”. I nie dokonał tego zdania. On miał świadomość, że przez swoją działalność może nie przeżyć, ale nie chciał, aby bliscy się w nią angażowali. Wręcz chronił ich przed grozą wojny.

W rodzinie też był postrzegany szczególnie. Pamiętam, że moja ciocia, rodzona siostra mamy, ze stryjem byli z jednego rocznika i przyjaźnili się. Poprosiła go więc na świadka swojego wojennego ślubu. I on często później u wujostwa bywał. Wuj opowiadał nawet, jak Niemcy wchodzili do ich domu kuchennymi drzwiami, a „Orlik” wyskakiwał na ulicę przez okno.

Stryj był przez ludzi bardzo lubiany. Świadczy o tym między innymi jego pogrzeb w Rykach, oczywiście symboliczny, który zorganizowała rodzina. Z relacji mamy pamiętam, jak mocno ówczesne władze obawiały się reakcji społecznej, tego że uroczystość może się zmienić w demonstrację antykomunistyczną. W związku z tym zmobilizowano duże siły mundurowe i po cywilnemu, które otoczyły kościół. Natomiast ludzie i tak przyszli z bardzo dużą ilością kwiatów. Później mama zebrała je wszystkie i złożyła pod pomnikiem Bojowników o Wolność Ojczyzny w 1918 roku w Rykach. Ale jeszcze tego

samego dnia kwiaty zniknęły. Najważniejszy jednak był fakt, że mimo terroru i propagandy ludzie się nie ulękli.

Jak Pan myśli, obecność tylu ludzi na tej uroczystości wynikała z szacunku do rodziny, czy do działalności „Orlika”?

Do działalności. Trzeba zaznaczyć, że to była bardzo mała społeczność. Ludzie z oddziału mojego stryja to w wielu wypadkach byli jego koledzy. Razem chodzili do szkoły, a potem razem poszli w bój. Na pogrzebie było więc sporo członków ich rodzin. Poza tym wielu ich bliskich także zapłaciło za swoją przynależność do konspiracji najwyższą cenę. W pokazowych procesach kilku żołnierzy stryja skazano na karę śmierci. Miało to służyć zastraszeniu miejscowego społeczeństwa i ludzie dobrze to zapamiętali.

Rodzice majora, Marianna i Michał Bernaciakowie, przeszli prawdziwą gehennę, więzieni przez UB od października 1945 roku jako zakładnicy za syna. Represje nie ominęły również pozostałych członków rodziny. Czy mógłby Pan o tym opowiedzieć?

Szczerze mówiąc, nie lubię do tego wracać. O tym znacznie więcej mogłaby powiedzieć moja ciocia Wanda, córka, a zarazem najmłodsze dziecko Marianny i Michała Bernaciaków. Ona była na przykład z powodu nazwiska sekowana przez niektórych nauczycieli w szkole. Miała zapowiedziane, że jej matura stoi pod znakiem zapytania. Otrzymała wówczas pomoc od wychowawczynie, przedwojennej nauczycielki, która zadała pytanie retoryczne: „Co? Najlepsza uczennica ma nie dostać matury?”. Następnie poradziła cioci, jak ma odpowiadać na pytania maturalne: „Będą ci zadawać różne prowokacyjne pytania, a ty nie zwracaj na to uwagi, tylko mów cały czas to, co umiesz. Nie przerywaj, tylko mów cały czas”. No i tak się stało, ale powiedziano jej, że o studiach to ona może zapomnieć. Wojenne dzieciństwo Wandy –

ciążył brak rodziców, tułaczka po różnych mieszkaniach, bo w domu albo Niemcy, albo Sowieci – zaważyło na całym jej dorosłym życiu. W końcu postanowiła to wszystko wyprzeć i nie wracać do tych wspomnień. Tak też zrobiła.

Kiedy z więzienia wyszedł stryj Lucjan, to oczywiście miał już „odpowiednią etykietę”. Jak chciał znaleźć pracę, to chętnie, ale gdy przedstawiał swoje dokumenty, to wszyscy bali się go przyjmować. Wreszcie zatrudniono go w zakładach przemysłu spożywczego w Warszawie i pracował tam do końca życia. Trafił na dyrektora, który w końcu mu to umożliwił. Później uzupełnił wykształcenie i nawet tam awansował. Warto przy tej okazji wspomnieć jeszcze jego żonę Krystynę, która tam pracowała. Wszyscy jej odradzali: „Ty się nie wiąż z nim”, a ona to później skomentowała krótko: „A ja się nie bałam. Wiedziałam, że to jest dobry człowiek”.

Pamiętam z dzieciństwa opowieść stryja Lucjana, że kiedy był zamknięty w więzieniu, pod jego celę przyprowadzano dziadka Michała i tam go katowano. Tak mocno go bito, że aż krzyczał. Lucjan rozpoznawał głos ojca i nie mógł tego znieść. Stryj wspominał, że rzucił się wtedy na drzwi celi i bił w ściany... Dziadek nie wyszedł z więzienia o własnych siłach, lecz o kulach. A babcia... Babcia była twardą osobą i mówiła wprost to, co myśli. W więzieniu musiało ją to drogo kosztować, ale się nie załamała. Jako dziecko przypadkowo wszedłem do domu, kiedy babcia akurat się myła. Stała do mnie tyłem i zdążyłem zobaczyć jej plecy pokryte głębokimi bliznami, jak po batożeniu. Stałem jak wryty i uświadomiłem sobie, że ktoś musiał zrobić jej wielką krzywdę. Ktoś bardzo mocno ją bił...

Autorzy książek o stryju napisali, że babcia podpisała się pod protokołem zeznań krzyżykiem, z czego wywiłdli, że była analfabeta. A ja myślę, że to był jej świadomy opór i sprzeciw. Postawiła oprawcom na papierze krzyż. Zresztą pamiętam dobrze z dzieciństwa jej modlitewniki, które czytała i modliła się.

Czy według Pana te wydarzenia złamały Pańską rodzinę; czy postrzegali się jako ludzie przegrani?

Absolutnie. Nie bez powodu mówię o twardości babci. Zresztą dziadka także. To byli przyzwoici ludzie, kochający ojczyznę. Oboje pochodzili z pokolenia, które przeżyło odzyskanie niepodległości przez Polskę w 1918 roku.

Czy utrata syna zachwiała w nich wiarę?

Nie. Chcę tutaj powiedzieć, że nad okiennicami domu dziadków przez całą tę rzeczywistość powojenną wisiały wyrzeźbione w drewnie przez dziadka orły w koronie. Obecnie chciano nawet je zdjąć, żeby je zachować w muzeum, ale mnie ten projekt się nie podobał. To tak jakby przedstawiać stare kapliczki przydrożne, związane nierozdzielnie ze swoim miejscem. Z takiego myślenia wynika to postanowienie, by przekazać Krzyż Wirtuti Militari stryja.

„Orlik” otrzymał Wirtuti Militari 1 czerwca 1945 roku. Myślę teraz, że ten rozkaz nominacyjny to jest w pewnym sensie cud. Pułkownik Jan Mazurkiewicz „Radosław” podpisuje nominację 1 czerwca, a w sierpniu jest już aresztowany. To był bardzo gorący czas. I że udało się jeszcze zebrać nazwiska ludzi, niektórych odznaczyć, innych awansować. Ja nawet nie wiem, czy stryj wiedział o tym odznaczeniu. Był człowiekiem, który nie dbał ani o stopnie, ani o odznaczenia. On się zajmował zupełnie czymś innym i co innego miał na głowie. To nie był typowy wojskowy, lecz człowiek – przepraszam, że użyję tego słowa – ponadprzeciętny.

A kim dla Pana jest stryj?

Młodym człowiekiem, który kiedy trzeba było, kiedy przyszła taka konieczność, to się nie wahał. Tylko tyle i aż tyle. Moja mama wspominała, że sama jego obecność, pojawienie się budziło respekt. Kiedyś też opowiadała mi ciocia Wanda, że jak mieszkała w innej miejscowości u dalszej rodziny, „Orlik” przyjechał konno ją odwiedzić. Był oczywiście pod bronią. Najpierw zrobił mnóstwo kłopotu tym ludziom, u których mieszkała, bo przecież ten koń musiał gdzieś być napojony i nakarmiony. A później po wizycie odprowadzali go i w którymś momencie wypatrzyli żołnierza sowieckiego stojącego na ulicy. „Orlik” wszystkim kazał się zatrzymać i sam wyszedł do niego. Po rozmowie wrócił i powiedział: „Idziemy”. Ten czerwonoarmista także był pod bronią. Stryj, jak wielu innych, „zaczarował” go swoją charyzmą. Nieprzypadkowo był to jeden z najgłośniejszych i najlepszych dowódców partyzanckich na Lubelszczyźnie. ■

KRWAWE STARCIE W LESIE STOCKIM

Dla żołdatów 198 Samodzielnego Batalionu Strzelców Zmotoryzowanych wojsk wewnętrznych NKWD 24 maja 1945 roku zapisał się pod znakiem porażki. Nie docenili oni sprawności bojowej polskich partyzantów oraz kunsztu dowodzenia mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”.

By lepiej zrozumieć skalę zwycięstwa żołnierzy polskiego podziemia, warto w tym miejscu podać stan liczbowy i wyposażeniowy walczących stron. Według komunikatu operacyjnego sztabu 198 Batalionu Strzelców z 24 godziny 24 maja 1945 roku w akcji w Lesie Stockim brało udział 52 żołnierzy NKWD, wspieranych przez transporter opancerzony i 30 funkcjonariuszy UB z Puław. Liczebność zgrupowania partyzanckiego Armii Krajowej i Dowództwa Sił Zbrojnych została określona przez Sowieców na 600 osób. Jednak historyk Jerzy Ślaski w monografii pt. *Żołnierze Wyklęci* określił stan grupy operacyjnej NKWD-UB na 680 ludzi, wspieranych przez dwa transportery opancerzone i trzy samochody pancerne. Autor ten, będący jednocześnie uczestnikiem walk, wskazywał, że połączone siły partyzanckie (oddział mjr. „Orlika” i grupa dywersji terenowej ppor. Czesława Szlendaka „Maksa”) liczyły 170 żołnierzy. Można przypuszczać, że w bitwie w okolicach Lasu Stockiego nie było tak wielkiej dysproporcji między walczącymi stronami, jak na to wskazuje monografia Jerzego Ślaskiego. Zarówno po stronie komunistycznych sił, jak i po stronie polskiej partyzantki mogło walczyć do 200 żołnierzy.

Transportery opancerzone kontra granaty

Zgola inaczej przedstawiała się siła ognia walczących wojsk. Przewagę miała tu grupa operacyjna NKWD-UB, która dysponowała bronią produkcji radzieckiej: karabinami powtarzalnymi Mosin, automatami PPSz i PPS oraz erkaemami DP i cekaemami Maxim. Sowieci mieli także transportery opancerzone. Były to amerykańskie półgąsienicowe half-tracki, uzbrojone w wielkokalibrowy i ciężki karabin maszynowy Browning, zdolny zasypać każdego przeciwnika „ścianą ołowiu”. Podobną sprawnością ogniową mogły się poszczycić ubeckie samochody pancerne BA, wyposażone w karabin maszynowy DT, zamontowany w obrotowej wieżyczce.

Z kolei zgrupowanie partyzanckie AK-DSZ mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”, głównie ze względu na konieczność skrytego i szybkiego przemieszczania się, miało w swoim wyposażeniu broń powtarzalną automatyczną i ręczną, zarówno produkcji radzieckiej, jak i niemieckiej. Na stanie tej formacji były także zrzutowe,

brytyjskie granaty ręczne Gammon. Granat składał się z dwóch części: materiału wybuchowego w formie plastiku i zapalnika. Transportowano je oddzielnie i scalano na czas walki. W zależności od celu ataku ilość ładunku wybuchowego mogła być zmniejszana lub zwiększana (np. w razie zwalczania pojazdów pancernych).

Warto też podkreślić, że jednostki NKWD i UB wyjeżdżały na akcje bojowe zazwyczaj z pełnym etatowym stanem amunicji. W walce nie musiały jej oszczędzać, jak miało to miejsce w przypadku formacji partyzanckich AK i DSZ. Nasuwa się w tym miejscu pytanie, dlaczego – mając przewagę ogniową – grupa operacyjna NKWD-UB przegrała starcie w Lesie Stockim. Odpowiedzi należy doszukiwać się w niedocenieniu przez stronę komunistyczną pozornie słabszego przeciwnika oraz w prawidłowym zastosowaniu taktyki partyzanckiej przez żołnierzy konspiracji niepodległościowej.

Zaczął się w Nałęczowie

19 maja 1945 roku oddział AK-DSZ Tadeusza Orłowskiego „Szatana” przeprowadził atak na posterunek Milicji Obywatelskiej w centrum Nałęczowa. Uderzenie to zakończyło się niepowodzeniem. Na domiar złego, załozce posterunku udało się wezwać pomoc z Lublina. Do walki został skierowany oddział niszczyielski ze 198 Samodzielnego Batalionu Strzelców Zmotoryzowanych wojsk wewnętrznych NKWD. Partyzanci, wycofujący się w kierunku południowym, wpadli w zasadzkę zastawioną przez sowiecką grupę pościgową. Na polach, które dziś okalają nałęczowską wieżę ciśnieni, doszło do niemal dwugodzinnego starcia. Zmasowany ogień broni maszynowej sprawił, że oddział AK-DSZ został rozbity. Można przypuszczać, że bój ten utwierdził sowieckich żołdatów w przekonaniu, że formacje polskiego podziemia są słabym przeciwnikiem, z którym łatwo sobie poradzą zmotoryzowane jednostki komunistycznego aparatu terroru.

Dlatego praktycznie z marszu w południe 24 maja 1945 roku grupa operacyjna NKWD-UB, dowodzona przez st. lej. Karpiuka oraz kpt. Henryka Deresiewicza (naczelnika Wydziału do Walki z Bandytyzmem WUBP w Lublinie), uderzyła na kwatery w zabudowaniach wsi Las Stocki partyzantów zgrupowania AK-DSZ mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”. „Szli szeroką ławą. Lewe rękawy kurtek mundurowych mieli podwinęte powyżej łokci,

dokończenie na następnej stronie



Zgrupowania partyzanckie AK – DSZ pod dowództwem Mariana Bernaciaka „Orlika”

co stanowi-
ło znak roz-
poznawczy za-
bezpieczający przed
otwarciem ognia do swoich.
[...] Posuwali się bez zachowania
szczególnej ostrożności, byli pew-
ni siebie, przekonani, że przewaga,
jaką mają, z góry przesądza wynik
starcia”, wspomina Jerzy Ślaski.

Przebieg bitwy

W terenie zurbanizowa-
nym, dodatkowo z licznymi
wąwozami, trudno było agresorom
wykorzystać przewagę ogniową, którą
zapewniały cekaemy i wukaemy za-
montowane na pojazdach pancernych.
Nacierającej nieprzyjacielskiej tyralierze nie
udało się wyprzeć partyzantów z zabudowań
wsi. Skrócenie dystansu walki zostało pierw-
szorzędnie wykorzystane przez żołnierzy
podziemia. Dokonując kontruderzenia, roz-
członkowali oni wrogie ugrupowanie. Po-
szczególne grupy NKWD-UB zostały zmu-
szone do przejścia do obrony okrzężnej. Raz za
razem od uderzeń partyzanckich gammonów
i broni maszynowej były niszczone transpor-
tery opancerzone oraz samochody pancerne.
W tym boju przeciwpancernym wyróżnili
się tacy żołnierze, jak: kpr. Jerzy Skolimow-
ski „Znicz”, kpr. Jerzy Michalak „Świda”,
kpr. Jerzy Ślaski „Nieczuja”, kpr. Kazimierz
Łukasik „Samopał” i kpr. Zbigniew Jarosz
„Czarny”. Rozmiaru klęski komunistów do-
pełniło zniszczenie przez pododdział „Orli-
ka” grupy kpt. Henryka Deresiewicza, która
w zgiełku bitewnym praktycznie weszła na
polskich partyzantów. Nastąpiła chwila kon-
sternacji, obie strony nie otwierały ognia,
obawiając się postrzelenia własnych żołnierzy.
Na okrzyk Wacława Kuchnio „Spokojnego”:
„Hasło!”, komuniści odpowiedzieli: „Lenin-
grad”. Reakcja partyzantów była natychmia-
stowa. Cała grupa UB została dosłownie roz-
niesiona seriami z broni maszynowej.

Wieczorem, po kilkugodzinnej wymianie
ognia, sytuacja grupy operacyjnej NKWD-
UB była dramatyczna. Tylko szybkie zbli-
żanie się do miejsca bitwy sowieckich po-
siłków pancernych (trzech czołgów, dwóch
transporterów opancerzonych, jednego sa-
mochodu pancernego i dwóch motocykli)
uchroniło ją od kompletnej klęski. Żołnie-
rze zgrupowania AK-DSZ mjr. Maria-
na Bernaciaka przerwali walkę i sprawnie
oderwali się od nieprzyjaciela. Przez kilka
kolejnych dni rejon bitwy był penetrowany
przez aparat bezpieczeństwa w poszukiwa-
niu poległych. Według komunikatu ope-
racyjnego sztabu 198 Batalionu Strzelców,
w bojach w rejonie Lasu Stockiego zginęło
20 funkcjonariuszy NKWD. ■

*Dr Marcin Paluch, historyk, wykładowca
Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych
w Dęblinie*

„ORLIK” wymierza cios

**To była jedna z najbardziej spektakularnych
akcji w dziejach antykomunistycznego
podziemia w Polsce. W kwietniu 1945 roku
oddział dowodzony przez mjr. Mariana
Bernaciaka „Orlika” rozbił puławski
areszt UB. Wolność odzyskała
przeszło setka więźniów.**

Wczesnym popołudniem 24 kwietnia 1945 roku na dziedziniec Po-
wiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach wtoczyły
się dwa ciężarowe studebakery. Z pierwszego wyskoczył sowiecki ma-
jor. Podszedł do wartownika, uścisnął mu dłoń i wytłumaczył, że jest
dowódcą specjalnej grupy operacyjnej, która przywiozła do aresztu
sześciu bandytów z lasu. Chwilę później dziesięcioosobowa eskor-
ta wprowadziła więźniów do budynku. Na korytarzu czekał na nich
komendant UB. Wywiązała się krótka rozmowa. Ubek nie wiedział
jeszcze, że oto na jego oczach odgrywane jest przedstawienie. Spek-
takl zaaranżowany przez mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”, który
wkrótce stanie się legendą antykomunistycznego podziemia.

Bernaciak przed wojną był urzędnikiem pocztowym. We wrześniu 1939
walczył zarówno z Niemcami, jak i Sowietami, potem działał w Związ-
ku Walki Zbrojnej, wreszcie w partyzantce. W szczytowym okresie jego
oddział liczył 300 osób. Po klęsce powstania warszawskiego Bernaciak na
krótce go rozwiązał, ale już w marcu 1945 ponownie był w lesie. Rozpo-
czął walkę z obsadzaną w Polsce przez Sowietów komunistyczną władzą.
Miesiąc później przeprowadził swoją najbardziej spektakularną akcję.
Za cel obrał więzienie PUBP, gdzie było przetrzymywanych przeszło
stu więźniów – w większości przeciwników rodzącego się ustroju.

24 kwietnia rano „Orlik” zarządził odprawę. Rozkazał swoim
podwładnym, by zdobyli dwie ciężarówki. Wkrótce partyzan-
ci sprowadzili do obozu dwa studebakery z rozbrojoną sowiecką
obsługą. Część jego żołnierzy miała się wcielić w role Sowietów
z NKWD, część zaś w polskich jeńców eskortowanych do aresztu.
Wszyscy oni mieli wejść na teren siedziby UB, ujawnić się, na-
stępnie odbić jeńców. „Potrzebuję 36 ochotników”, rzucił „Or-
lik”. Wystąpili prawie wszyscy. Sam włożył mundur sowieckiego
porucznika i ruszył do Puław wraz ze swoimi ludźmi.

Ciężarówki dotarły pod areszt około godziny 15.00. Wszystko
szło gładko, aż do rozmowy z komendantem UB. Przysłuchują-
cy się jej autentyczny enkawudzista, zdemaskował fałszywą eskor-
tę i przygotował się do strzału. Ale „Orlik” był szybszy. Ludzie
mjr. Bernaciaka nie stracili jednak głowy. Wywiązała się krótka
strzelanina. Ubecy wycofali się i zabarykadowali w części budynku.
A partyzanci zaczęli wypuszczać więźniów i ładować ich na cięża-
rówki. Tego popołudnia wolność odzyskało w sumie 107 osób.

Tymczasem „Orlik” zarządził odwrót. A przy okazji postanowił
pokrzyżować szyki ewentualnemu pościgowi. Kiedy ciężarówka,
w której jechał, mijala oddział Armii Czerwonej (w Puławach sta-
cjonowały pokaźne sowieckie siły), otworzył okno i krzyknął po
rosyjsku: „Szybko, tam w więzieniu Polacy biją naszych!”. Sowiet
w mgnieniu oka ruszyli na odsiecz, nieświadomie ostrzeliwując...
zabarykadowanych w budynku ubeków. Prawda wyszła na jaw po
kilkunastu minutach. Ale wówczas ludzie „Orlika” byli już da-
leko za Puławami. Zorganizowana naprędce grupa pościgo-
wa nie odważyła się zapuścić za partyzantami do lasu. ■

Łukasz Zalesiński



Projekt z jubileuszowej serii edukacyjnej „Drogi do niepodległości” został przygotowany
przez zespół Wojskowego Instytutu Wydawniczego pod redakcją Anny Putkiewicz.
Teksty umieszczone w numerze okazijnym były publikowane
na portalu polska-zbrojna.pl.

Opracowanie graficzne:

Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW

Marcin Dmowski (kierownik), Marcin Izdebski (opracowanie graficzne)

Zdjęcia: arch. Michała Bernaciaka i rodziny, IPN, Artur Orzechowski,

Koloryzacja zdjęć archiwalnych Mirosław Szponar

Redakcja i korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego WIW

Marta Sachajko (kierownik)

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne Sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

polskaZbrojna

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Dyrektor: Maciej Podczaski

Miesięcznik „Polska Zbrojna”

Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska

Portal www.polska-zbrojna.pl

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”

Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL